

PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor naczelny:
X. JÓZEF KŁOS w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.
Adres dla spraw dotyczących rękopisów
i treści pisma: REDAKCJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich
z dodatkami:
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ” i „GOSPODARSTWO”

Adres dla spraw dotyczących przedpłaty,
ekspedycji itd.
ADMINISTRACJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Tel. Administracji: 3613 i 2678
Warunki przedpłaty patrz ostatnią stronę
w dole

Nr. 44.

Poznań, dnia 30 października 1927 roku.

Rok XXXIII

CHRYSTUS-KRÓL



Królu i Zjednoczenie serc wszystkich — zmiłuj się nad nami!

R e w j a

Rok naja, od kiedy uroczyste obwołaliśmy Chrystusa Królem naszym.

Czas dziś zastanowić się, czy dochowaliśmy mu wierności. W sumieniu trudno wglądać, każdy więc niech sam ze sobą szczerze i pokornie się obliczy...

Wszak zrozumieliśmy już, że Chrystus to nie król mglisty, w zaświatach rządzący, lecz prawdziwy, rzeczywisty władca nieba i ziemi, którego woli podporządkować się winno wszystko, co żyje. Niedosć cześć mu oddawać w świątyniach, praw jego przestrzegać trzeba w rodzinie, w szkole, urzędzie, wojsku, w narodzie.

Czy w tym duchu pełniliśmy służbę swoją? Czy wzgląd na wolę Pana i Króla był dla nas rozstrzygającym momentem przy regulowaniu poczynąń naszych?

Jesień

*Lecą korale z jarzębiny,
W przydrożnym rowie szepcą ziola,
Jesień ostatnie śle godziny,
Coś na rozstajnych drogach woła,
Coś drzew gałęzie chyli.
W południe niebo jasne cale
Światu uśmiechy zsyla właśnie,
Pajęczne nici suną białe
I na wędrujących kwiatach — gaśnie
Ostatni sen motyli.*

Każdy w obrębie własnych obowiązków i własnej odpowiedzialności niech uczciwie — bez upiększania błędów i odchyłań — przemierzy w pamięci przebyty okres czasu.

Chrystus-Król patrzy dziś w serca swych poddanych.

Co w twoim znajdzie? Cóż uczyniłeś dla ugruntowania Królestwa jego w duszy własnej — w duszy swoich najbliższych i wszędzie tam, dokąd twój wpływ sięga?

Coś uczynił dla przysporzenia Królowi twemu nowych poddanych, coś zrobił dla misji? Czy rozumiesz już, jak okrutnem jest pytanie: POCO nawracać pogan? Zastanówmy się wszyscy nad sobą w tym dniu uroczystym.

Obyśmy w tej rewji wielkiej, jaka się dziś odbywa pod okiem przenikającym najskrystsze tajniki, znaleźli łaskę przed Panem!

R. E.

*Podmuchy wiatru chłodzią ziemię;
Las — mgłą słoneczną otulony —
Na skraju pola cicho drzemie;
Wysoko ciągnie w cuple strony
Podniebny klucz żorawi.
Jakby zginęły ból i troska,
Od słońca błyszczy cale pole,
A miedzą idzie Matka Boska
I rzuconemu ziarnu w rolę
Cichutko błogosławi.*

Janina Waściszakowska.

Ewangelja na niedzielę dwudziestą pierwszą po Świątkach

zapisana u św. Mateusza rozdz. 18, w. 23—35.

Won czas: Powiedział Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Z królestwem niebieskiem, ma się podobnie jak z pewnym królem, który chciał zrobić obrachunek ze sługami swymi. A gdy zaczął czynić obrachunek, stawiono przed nim jednego, który był mu winien dziesięć tysięcy talentów. Ponieważ zaś nie miał skąd oddać, kazał go pan jego zaprzedać i jego żonę i dzieci i wszystko co posiadał, a dług zwrócić. Ów tedy sługa, upadłszy mu do nóg, błagał go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a wszystko ci zwrócę. A pan ulitował się nad swym sługą, uwolnił go i dług mu darował. Alści sługa ów, wychodząc, spotkał jednego ze współtowarzyszów swoich, który mu był winien sto denarów, i chwyciwszy go dusił, mówiąc: Oddaj coś winien! Lecz współsługa jego upadł mu do nóg i błagał go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a wszystko ci zwrócę. On jednak nie chciał, lecz odszedł i wtrącił go do więzienia, ażeby dług oddał. A gdy jego współtowarzysze ujrzeli, co się stało, bardzo się zasmucili; poszli przeto i opowiedzieli panu swemu wszystko, co zaszło. Wtedy pan jego przywołał go do siebie i rzekł mu: Sługo niegodziwy, cały dług darowałem ci dlatego, żeś mnie prosił; czyż więc nie należało, abyś i ty się zlitował nad współsługą swoim, jak i ja nad tobą się zlitowałem? To też rozgniewany pan jego wydał go katom, ażeby zwrócił cały dług. — Podobnie i Ojciec mój niebieski uczyni wam, jeśli nie przebaczycie z serc waszych każdy bratu swemu.

Nauka.

„A pan ulitował się nad swym sługą.”

Groźba, zawarta w końcowych słowach powyższej ewangelji: „Podobnie Ojciec mój niebieski uczyni wam” — niech nas nie przestrasza. Jeżeli bowiem „z serc naszych przebaczymy każdy bratu swemu” — Król nasz i Pan ulituje się nad nami, swymi sługami i choćby dług nasz wielkością równał się olbrzymiej sumie dziesięciu tysięcy talentów, „skoro w oczach łzy zobaczy, wszystko nam darować raczy!”

W r. 70 za czasów cesarza Wespazjana, zebrał się senat, aby rozstrzygnąć, jaką dać nazwę najwyższemu bóstwu. Jeden z senatorów zaleca: Nazwijmy je Bogiem potęgi! Druzgi: Nie, lepiej Bogiem mądrości! Trzeci: Najodpowiedniejszą byłaby nazwa: Bóg sprawiedliwości! Wkońcu odezwał się jeden z najstarszych i najzacniejszych senatorów: Najodpowiedniejszą będzie mojem zdaniem nazwa: Bóg dobroci i miłosierdzia! To mówiąc, uniósł w górę obraz Zbawiciela, na którym był taki napis: „Ja was umiłowalem wszystkich i przebaczałem wam wszystko, ponieważ jestem Bogiem dobroci i miłosierdzia!”

— Tak, to jest najtrafniejsze określenie, — krzyknęli zgromadzeni, — tak odtąd będziemy Boga nazywali. Owi senatorzy z oblicza Zbawicielowego wyczytali tyle dobroci i miłości. Ileż więcej my wczytywać się winniśmy w ewangelję świętą, takie jak dzisiejszą, aby uprzytomnić sobie dobroć serca Jezusowego. Najlepszy malarz nie uwydatnił jej pędzlem tak doskonale, jak ją uwydatnia Pismo św. w przypowieściach o marnotrawnym synie, o dobrym pasterzu, o pokutującej Magdalenie lub w ewangelji dzisiejszej. Zauważmy, co o niej mówi król do nielitościwego sługi: „Cały dług darowałem ci, iż się mnie prosił!” Tak więc wystarcza prośba grzesznika, ona jest tą potężną dźwignią, która przenosi go z przepaści piekielnej na szczyt szczęścia wiekuistego. Prośmy tedy bezustannie o odpuszczenie win, a przytem odpuszczając winy winowajcom naszym, nie wątpmy nigdy w miłosierdzie Boga, gdyż obraziłibyśmy go tem boleśnie. Wyzwała my się z nieufności i małoduszności, która murem obojętności dzieliła nas od Boga. Napróżno Jezus dotychczas pukał do drzwi serc naszych, zachęcając nas do prośnienia o przebaczenie; nie uciekajmy przed nim, jak Adam w raju.

Lecz odtąd musi być inaczej, albowiem przekonaliśmy się, że Bogiem jest dobroci i miłosierdzia, że jest tym Panem, który ulitował się nad swym sługą.

Święto Pana naszego Jezusa Chrystusa Króla

(Ostatnia niedziela października.)

Od czasu, jak tylko ludzie istnieją na ziemi, była władza: władza ojca w rodzinie, patriarchy w rodzie, księcia w plemieniu.

Rodzina była jakby małym państwem, ród nieco większym, a wreszcie plemię tworzyło już to, co dziś zwykliśmy państwem nazywać.

Ponieważ więc była władza od początku istnienia ludzi na ziemi, przeto tak dawnym jak ludzkość jest zagadnienie dobrej władzy, pragnienie, by władza spoczywała w jak najodpowiedniejszych rękach i usiłowania by te pragnienia urzeczywistnić.

Byli tacy, którzy myśleli, że rządy najbogatszych będą najlepsze; byli inni, którzy za szczyt doskonałości rządów uważali republikę demokratyczną; byli wreszcie i tacy, którzy mniemali, że najodpowiedniejszą jest monarchja absolutna, władza nieograniczona królewska.

Ale i nie brakło takich, którzy twierdzili, że istota rzeczy nie leży w tem, czy będą gdzieś rządy nieograniczonego monarchy, czy rządy najbogatszych, demokracja, czy jeszcze jakiśkolwiek inny ustrój państwowy — ale że istota rzeczy leży w tem, jakim jest ten, kto rządzi. Jeżeli władca będzie mądry i będzie rozumiał dobro swych poddanych i dbał o nich, jeżeli będzie kochał swój lud i gotów będzie poświęcić wszystko dla dobra tego ludu: i pracę i trud i zdrowie i życie nawet — wtedy będzie naprawdę dobrze w państwie.

Ale czy naprawdę jest taki władca na świecie?

Bóg zesłał takiego Króla na ziemię.

W cichej izdebce w Nazarecie, do Dziewicy, zatonionej w modlitwie o zesłanie obiecanego Odkupiciela na ziemię, spragnioną i łaknącą Go, — rzekł Anioł Gabriel: Oto poczniesz w łonie i porodzisz syna, którego nazwiesz imieniem Jezus. Będzie On wielkim i Synem Najwyższego zwany; a da Mu Pan Bóg tron Dawida, ojca Jego i będzie królował nad rodem Jakóba na wieki, a Królestwu Jego nie będzie końca.

I przyszedł na świat Król królów i Pan panujących: Jezus Chrystus-Król, Król Najmędrszy, Król Najlepszy, Król Najsprawiedliwszy, Król Najmiłosierniejszy, Król Pasterz Dobry, Król miłujący tak lud swój, że życie własne daje za poddanych swoich, za owce Swoje, Król karmiący Ciałem Swem lud swój i Pojający go Krwią Swoją.

I założył królestwo wieczne i powszechne: królestwo prawdy i życia; królestwo uświęcenia i łaski; królestwo sprawiedliwości, miłości i pokoju.

I będzie panował od morza: i od rzeki aż do krańców ziemi. I będą Mu się kłaniać wszyscy królowie ziemi: wszystkie narody służyć Mu będą.

Pan zasiada Królem na wieki: Pan błogosławić będzie ludowi Swemu w pokoju.

Zaprawdę godnym i sprawiedliwym jest — modlimy się w prefacji na uroczystość Chrystusa Króla — słusznym i zbawiennym, abyśmy Ci zawsze i wszędzie dzięki składali, Panie święty, Ojcie wszechmocny,

wieczny Boże: Który Jednorodzonego Syna Twego Pana naszego Jezusa Chrystusa, Kapłana wiecznego i Króla nad wszystkim, olejem wesela namaściłeś: aby Samego Siebie cfiarując na ołtarzu krzyża, jako ofiarę niepokalaną i pojednawczą, dokonał tajemnicy odkupienia ludzkiego: i ażeby, podbiwszy pod swoje panowanie wszystkie stworzenia, nieskończonemu Majestatowi Twemu oddał królestwo wieczne i powszechne: królestwo prawdy i życia: królestwo uświęcenia i łaski; królestwo sprawiedliwości, miłości i pokoju.

I przeto z Aniołami i Archaniołami, z Tronami i Panowaniami oraz ze wszystkimi hufcami niebieskiego wojska hymn chwały Twojej śpiewamy, bez końca mówiąc: Święty, Święty, Święty.

Nietylko, wychwalajmy Boga i dziękujmy Mu, ale oceńmy należycie ten zaszczyt, że należymy do Kościoła katolickiego, tego Królestwa Chrystusowego:

Spożywwszy pokarm żywota wiecznego, prosimy Cię, Panie, abyśmy, którzy szcycimy się, że możemy walczyć pod sztandarami Chrystusa Króla, z Nim Samym mogli królować w siedzibie niebieskiej.

Ale pamiętajmy też o tych ludach, które nie należą jeszcze do Królestwa Chrystusowego, i módlmy się, by Pan zlitował się nad nimi.

Żniwo wprowadzie wielkie, ale robotników mało.

Prośmy tedy Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo Swe: Wszechmocny, Wieczny Boże, który w umiłowanym Synu Swoim, Królu nad wszystkim, wszystko odnowić postanowiłeś: spraw łaskawie, aby wszystkie rodziny ludów, rozproszone na skutek rany grzechowej, poddały się Jego najłodszyemu panowaniu: Który z Tobą żyje i króluje w jedność Duchu Sw., Bóg po wszystkie wieki wieków.

Władysław Jelonek.



Cmentarz w Genui, jeden z najpiękniejszych w świecie. Mimo ślicznych rzeźb i marmurów jednak kres wszelkiej wielkości ziemskiej!

Byłem na odpuszcie św. Franciszka...

Listy z Asyżu.

IV.

Droży Czytelnicy!

Nasza przewodniczka w Asyżu, wyświadczyła nam jedną wielką przysługę. Malując od kilku lat obrazy w klasztorze, znalazła się z wszystkimi prawie Ojcami w Sacro Convento. Łatwą więc było jej rzeczą zaznaczyć i nas z kilkoma z nich.

Jedno z pierwszych pytań, które skierowaliśmy do nowych znajomych było, czy są także Polacy wśród Franciszkanów w Asyżu.

— Są, — odpowiada zakonnik, — ale są to klerycy; nie mieszkają zresztą tutaj, tylko tam na dole, przy Porcjunkuli, przy kościele Matki Boskiej Anielskiej. Natomiast u nas w Sacro Convento jest jeden z braci Polak.

— Czyż można się z nim poznać?

— Ależ owszem. Znajdziecie go w zakrystii przy sprzedawaniu różnych świętości i pamiątek z Asyżu. Idziemy przeto do zakrystii. Widzimy trzech braci przy kramie. Któryż z nich Polak?

Pochwaliliśmy głośno Pana Boga po polsku.

Odrzuć brat Polak podniósł na nas głowę i odpowiedział z zacięciem:

— Na wieki wieków. A skąd Pan Bóg prowadzi?

Gdy mu powiedział swoje nazwisko, uradował się ogromnie.

— Czy to ten redaktor od „Przewodnika?”

— A juści, — odpowiadam, bo przecież nie mogłem się zapierać.

Więc wielka uciecha, serdeczne powitanie, wychwalanie „Przewodnika.”

— Jakże się cieszę, że poznałem redaktora tego pisma, na którym przecież jako dzieciak uczyłem się czytać po polsku! Jakże go witam i teraz zawsze radośnie tutaj w obcym kraju!

Nie mogę powiedzieć, żeby mi takie oświadczenia nie były miłe. Pokazuje się przecież w takich wypadkach, ile dobrego robi nasz „Przewodnik.”

Gawęda Janka Oblec światła

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Adyć już jestem, jestem sam we własnej osobie, ja wysocy urodzony Janek Oblec światła, herbu Kurzypazur.

Muszę się tak dokładnie przedstawić kochanym państewku, bo po tak długim moim milczeniu gotowicie mnie wcale nie poznać. Gdybym to mógł wykazać się swoją fotografią w Przewodniku! Ale to jakoś niemożliwe, chociaż już nieraz prosiłem o to księdza redaktora, aby umieścił moją niegodną podobiznę na początku każdej Gawędy.

— Odrzuciłbyś mi, Janku, połowę czytelników, — odrzekł ksiądz redaktor, — gdyby zobaczyli twoją facjatę.

— A jednak mogę pokazać co najmniej pięćdziesiąt listów od czytelników, a jakie sto od czytelniczek, w których mnie błagają o podanie fotografii Janka Oblec światła w Przewodniku.

— To dlatego, że sobie wyobrażają, zwłaszcza panienki, iż Janek Oblec światła to jakiś nadobny młodzian, z bujną czupryną, z okiem sokolem, z pięknym wasikiem. Ale gdyby zobaczyły twoje siwe wąsiska, postrzępione jak miotła, nosisko potężne jak stodoła i głowę kanciata jak pudło a mocno podłyśnią, toby zaczęły pisać i krzyczeć, że woła cię już nie widzieć.

A może to i prawda, — pomyślałem sobie. Lepiej, że ludziska mają o mnie dobre pojęcie. Możeby je stracili, gdyby mnie zobaczyli.

Tak na ucho to się przyznam kochanym czytel-

Zaraz też nasz zacny rodak powierza kram innemu bratu i idzie z nami, by nas osobiście oprowadzić po świątyni.

Dowiadujemy się, że to brat Atanazy Janusz, Wielkopolek, od Pleszewa, który już od kilkunastu lat jest w zakonie franciszkańskim.

Pod jego przewodnictwem rażno już idzie zwiedzanie bazyliki.

Zaczynamy od kościoła najwyższego.

Nie będę przecież opisywał wszystkich jego piękności. Listy moje zbyt szczupłe na to dają miejsce. A sztuka i cześć dla św. Franciszka wysiliły się tutaj, aby stworzyć przybytek pełen rzeczy zdumiewających swoim znaczeniem i swoją wartością. Całą książkę można by napisać o cudownych stalach, które są arcydziełami rzeźby i tak zwanej intarsji, czyli sztuki układania drzewem kolorowym.

Główne jednak dziwowisko tego kościoła to malowidła na górnych polach ścian. Są to tak zwane freski, czyli obrazy malowane na świeży tynk przez sławnego malarza Giotto (czyt. Dżotto). Żył ten mistrz pędzla 700 lat temu, malował strasznie dużo, a malował z taką wprawą i takim wdziękiem, z tak ogromną jak na te czasy odległą znajomością anatomii czyli budowy ciała, że przez setki lat budził i do dziś budzi zdumienie wszystkich znawców i miłośników piękna. A co najwięcej nakłania do zastanowienia to owe farby, których do dzisiejszego dnia zachowały świeżość prawie że nienaruszoną. Wprawdzie malowidła same są już w dość znacznej mierze niestety uszkodzone; psuł się tu i ówdzie tynk, gdzieindziej znowu ludzie nieumiejętni bezmyślnie niszczyli te bezcenne dzieła. Ale gdzie farba została, tam wykazuje ona taką świeżość, jak gdyby ją malarz był dopiero wczoraj nałożył.

niezkom i czytelnikom, że jeszcze się żadnej fotografii nie dorobił. Ilekroć jakiś fotograf próbował mnie „odebrać”, to zawsze pękła mu płyta. Przerażała się mojego nosa czy co? Dosyć, że teraz żaden z fotografów, którzy mnie znają, nie chce mnie fotografować, bo ino mają stratę przez mój nos i tyle.

A jednak mam na stare lata ochotę zobaczyć swoją podobiznę na papierze. Tyle w „Przewodniku” widzę obrazków jubilatów złotych, i dzwonów i starych ruder, że nie wiem, dlaczego tam nie miał się też raz pokazać we własnej osobie Janek Oblec światła, który się już od trzydziestu lat wysługuje „Przewodnikowi” i jego kochanym czytelnikom. Więc będę szukał takiego głupiego fotografa, który mnie jednak raz „odbierze”, i wtedy ułokuję się elegancko przy Gawędzie w „Przewodniku”.

Wtedy też przekonają się kochane czytelniczki, że z tą moją brzydota to znowu nie tak źle, jak mi wygarnął ksiądz redaktor. Żadna tam od mojego widoku nie dostanie kurczy. Niech poświadczy Kundzia, że ze mnie chłop do rzeczy. Nie byłaby się przesła za mnie, gdybym był takim potworem, bo sama była dziewczę jak koralik i nie potrzebowała sobie brać żadnego straszidła!

Muszę też kochanym państewku podziękować za ich troskliwość o mnie w tych kilku tygodniach, kiedy to nie odzywałem się w „Przewodniku”. Myśleli wszyscy, że ciężko zachorowałem. Bo że bym wyjechał do Ameryki, w to już mało kto wierzy. Mają ludziska o mnie takie przekonanie, że choćby przy-

— W czym też tkwi tajemnica trwałości i świeżości tych farb? — pyta jeden z nas. — Czy mają dzisiaj farby podobne?

— Ale gdzież tam! — odpowiada braciszek. — Szukają tej tajemnicy, ale jej odkryć nie mogą. Zobaczymy w dolnym kościele, jak odnawiają a częściowo urządzają na nowo jakąś kapliczkę. Ma być skończona na niedzielę, bo ma się odbyć jej poświęcenie. Z tej okazji zrobiono nową próbę farb. Zeskrobali z malowideł Giotto trochę farby i podali ją badaniu przez chemików. Powiadają, że już wiedzą, z czego się składały giottowskie farby. Ale co? Pokazało się, że kilo tej farby kosztuje 3200 lirów czyli 1600 złotych. Któżby mógł malować kościół tak drogiemi farbami! Giotto na pewno malował tańszemi.

Przybył Giotto do Asyżu już jakie 70 lat po śmierci św. Franciszka. Nie znał więc św. Patriarchy z widzenia. Ale tak ukochał jego osobę i jego zakon — sam był zdaje się tercjarzem franciszkańskim, — tak się zagłębił w jego życie i dzieło, tyle zaczerpnął wskazówek, jak mówią, od poety Dantego, także wielkiego czciciela św. zakonodawcy, że ku zdumieniu wieków wymalował na górnych ścianach kościoła 28 obrazów z życia i działalności tego Świętego, obrazów o niepomiernej głębokiej myśli chrześcijańskiej. Przed nim malowali sławni malarze także piękne postacie Pana Jezusa, Matki Boskiej, Świętych Pańskich. Ale były to zawsze figury groźne, sztywne, z wytrzeszczonemi przeraźliwie oczami; malarz chciał w ten sposób wyrazić majestat straszliwy Boga i rzeczy Bożych. Szkoła malarska, która tak pojmowała przedstawienie postaci niebieskich, nazywa się szkołą bizantyjską. Otóż z zasadami tej szkoły zerwał Giotto, mówiąc:

— Dlaczego mamy Boga i Świętych malować tak, jakbyśmy chcieli Bogiem straszyć ludzi. Przecież Bóg jest piękno najwyższe, a Święci słudzy jego to arcydzieła jego łaski. Więc niechaj obrazy nasze będą odbiciem piękności Boga i wyrazem wdzięku, który Stwórca wylał na swoje stworzenie.

szedł ów obiecany tykiet czyli szyfarta, to wolałbym wyprawić przez morze jakiego żyda (bodaj tam po drodze klupnął gdzie w wodę!) a sam nie opuszczałbym Polski.

Więc ta życzliwość i przyjaźń drogiej czytelników bardzo mnie wzrusza. Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie! A cięsz się ich przyjaźni dlatego, że według ich listów sprawiam im swoim pisaniem niejedną radosną chwilę.

Mój Boże, co to za szczęście, gdy można ludziom stroskanym, zapracowanym, przygniecionym do ziemi ciężarem codziennych móżolów, rozjaśnić choć na chwilę ich dołę, wygładzić ich czoła i uśmiech sprowadzić na ich usta! Leć tedy, moja Gawędko kochana, na wszystkie strony świata i gdzie spotkasz serca skłopotane, rozegnaj chmury kłopotów, a gdzie zobaczysz twarze smutne i ponure, spraw, niech na nich uśmiech zakwitnie radosny. Jaki ja będę szczęśliwy, gdy dowiem się, że Gawęda spełniła to swoje posłannictwo! Za królewskie berło nie oddam wtedy pióra i — mojego sękatego!

Dał mi Pan Bóg takie serce, że pragnąłbym wszystkim przychylić nieba i chleba. Uczynić komu przykrość umyślnie, poczytywałbym sobie za ciężki grzech. A gdy się zdarzy, że kogoś mimowoli zadrasnę, to mnie boli serce więcej może niż owego zadrasniętego. Że zaś czasem grzmotnę kogo sękatym, to i takie grzmotnięcie idzie z dobrego serca. Przecież matka lub ojciec też czasem muszą dziecko poczęstować różgą lub prętem. Czyż to nie z miłości?

I odtąd stał się Giotto ojcem nowej szkoły malarskiej, która z biegiem lat doprowadziła sztukę malowania wdzięków i piękności w obrazach Pana Jezusa, jego Najśw. Matki i Świętych do niesłychanej doskonałości.

Gdyby tak moim czytelnikom „Przewodnika” zaprezentować te wszystkie obrazy Giotto, do których treść brał z życia św. Franciszka, to zdumieliby się, jak pięknie malowano już 700 lat temu. Ale brak miejsca na to nie pozwala.

Pod przewodem naszego rodaka, który tłumaczy nam znaczenie każdego obrazu, oglądamy te cuda mistrzowskiego pędzla.

Nie próbuję nawet ich opisywać. Wspomnę tylko, że wszystkie sceny z życia naszego Świętego, które znamy z różnych obrazków, jak n. p. kazanie św. Franciszka do ptaszków, widzenia jego braci zakonnych, którzy oglądali swojego św. Ojca w walech niebieskiej, wydobywanie wody ze skały, uczczenie św. stygmatów przez św. Klarę i liczne inne, tutaj zostały uwiecznione mistrzowskim pędzlem Giotto.

Z innych rzeczy godnych zapamiętania wymienilibym tylko jeszcze małą, lecz bardzo piękną ambonkę, rzeźbioną z kamienia, która zasługuje na wzmiankę nie tylko dla swoich nadobnych kształtów, lecz także dlatego, że z tej ambony przemawiali wielcy kapłani i święci, jak na przykład św. Bernard z Sieny.

Zejdźmy do kościoła dolnego.

Podczas gdy tam na górze światło leje się w obfitości do świątyni przez duże, jasne okna, tutaj panuje wieczny tajemniczy mrok, słabo tylko rozpraszany przez promyczki słońca, wdzierające się przez ciemne, starożytne witraże. Podczas gdy w kościele górnym wszystko jest lotne, smukłe kolumny pną się śmiało do góry, sklepienia i łuki rosną jakby w ekstazie, zachwycie, gdzieś pod niebiosami, tutaj, w kościele dolnym, filary są niskie a szerokie, sklepienia jakby splaszczzone, przybite do ziemi.

Nasz przewodnik tłumaczy nam tę różnicę.

Z pewnością wyjdzie to dziecku na dobre. Wszakże mówi polskie przysłowie, że gdzie matka chrośnie, tam dobro urośnie!

Więc Bóg Wam zapłać, drodzy czytelnicy, za Waszą pociechę i życzliwość. Pocieszam się, że gdy mnie kiedyś w piasku zagrzebią, to niejedna zdrowaśka popłynie do nieba za mój wieczny odpoczynek, a może i mszyczkę jakąś kochana dusza każe odprawiać — za starego gawędziarza Janka Obłeciświata.

Takie mi myśli poważne przychodzą o umieraniu, boć przecież i lata mam potemu i bliski dzień zaduszny przywodzi do głowy rozważania o tem, co tam jest poza grobem. Wszakże w tym roku my zapalimy naszym drogim zmarłym świeczki na mogiłkach, a w roku przyszłym inni nam je zaświecą.

No, ale tymczasem jeszcze żyję. A dopóki żyję, chcę pracować i działać, chcę pisać Gawędy do kochanych czytelników, chcę się przysłużyć ludziom i dać im z serca to, na co mnie stać.

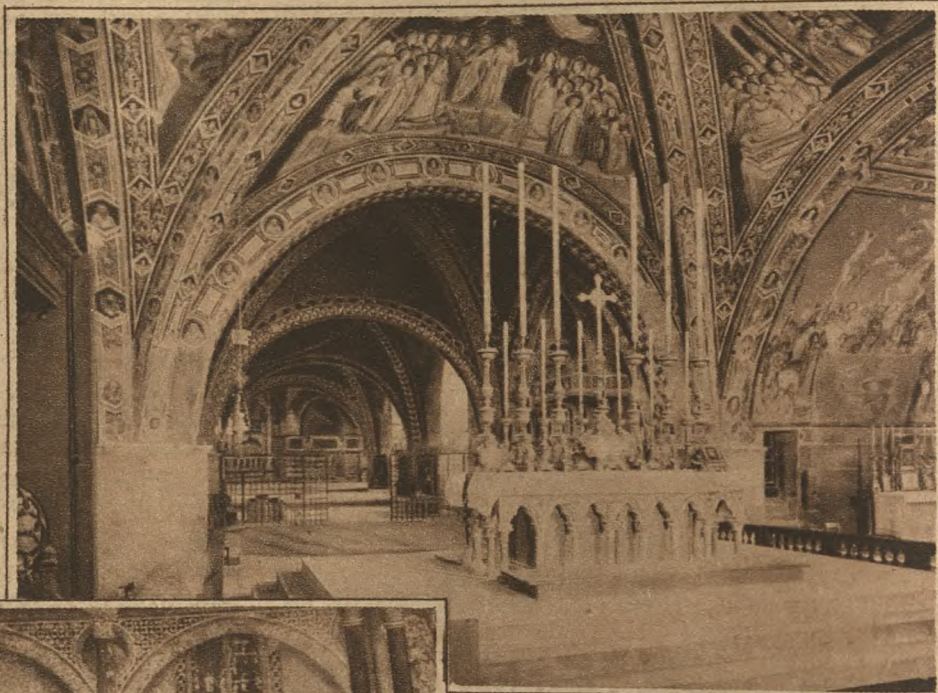
A dosyć mnie przysła o radę. W czym ja wszystkim radzić mam przyjaciółom? Na wolej skórze nie spisałybym tego, czego się domagają czytelnicy od mojej głowy. Na wszystko, o co mnie pytają, rady ni leku nie znajduję. Ale w jednej ciekawej sprawie dam radę w przyszłej Gawędzie. I już dzisiaj bądźcie pewni, szanowni czytelnicy, że każdy, kto ma zdrowy sens w głowie, a Boga w sercu, przyzna mi, że świętą rację ma

uniżony Wasz sługa i przyjaciel
Janek Obłeciświat.

— Podobno architekt w tej różnicy budowy chciał wyrazić głęboką myśl. W dolnym kościele miała się wyrażać pokora i uniżenie św. Franciszka, w górnym wywyższenie, chwała, triumf jako nagroda za upokorzenie, wyzwolenie z wszystkiego co ziemskie, niskie, podle i brudne. — Piękne wyjaśnienie.

I oto znowu nie śmiem opisywać wszystkich pięknych rzeczy, jakie ludzie podziwiają w dolnym kościele. Powiem tylko ogólnie, że wszystkie ściany i sklepienia pokryte są mistrzowskimi malowidłami. Nie wiem, czy jest na świecie druga świątynia z wieków średnich, któraby się mogła poszczycić takim bogactwem arcydzieł malarstwa jak ta bazylika św. Franciszka. Każda kaplica kryje perły tej Boskiej sztuki. Simone Martini, Dono Doni, Sermei, Lorenzetti, oto nazwiska tych mocarzy, co tutaj swój genjusz oddali na usługi Kościoła. Wszystkie te nazwiska jednak błędną wobec takiego słońca jakim na niebie malarstwa jest wspomniany już Giotto.

Uwiecznił on tutaj swoją sławę głównie czterema obrazami, wymalowanymi na czterech polach sklepienia ponad ołtarzem papieskim, stojącym w samym środku świątyni. Przedstawiają one trzy śluby zakonne, ubóstwo, czystość, posłuszeństwo i chwałę św. Franciszka w niebie.



Wielki ołtarz papieski w dolnej bazylice św. Franciszka w Asyżu.

Na lewo: Sławne malowidło Giotto: Posłuszeństwo. (Objaśnienie w Liście z Asyżu.)

U jej stóp pokazuje anioł kłęczący po jej prawej stronie dwom nowicjuszm Posłuszeństwo jako ich życia zadanie. Po lewej kłęczy Pokora ze świecą w ręku, rzucającą światło na prawdziwą wartość posłuszeństwa. Za nią wysiła się jakiś anioł, aby do Obedientii doprowadzić centaury, potwór na wpół koń, na wpół człowiek; obraz nieokiełznanego uporu, który nie umie się nagiąć do posłuszeństwa. Aniołowie po lewej i po prawej stronie przypatrują się ciekawie temu wysiłkowi.

Czy to nie ciekawe myśli, jakie malarz-genjusz zamknął w swoim arcydziele. Jest to prześliczne kazanie o posłuszeństwie w malowidle!

A jednak to co dla Asyżu jest najdroższe i najcenniejsze, mieści się dopiero w trzecim kościele, w krypcie podziemnej. Tam spoczywa w trumnie kamiennej on wielki ojciec życia zakonnego. Tam panuje cisza i skupienie. Tam tajemniczy jakiś głos mówi do zwiedzającego: „Zasłoń głowę i zdejmij obuwie z nóg twoich, albowiem ziemia, na której stoisz, święta jest”.

Opisałem już to święte miejsce dokładnie w liście ostatnim. Nie powtarzam przeto szczegółów i kończę list dzisiejszy.

X. Józef Klos.

Nasz przewodnik objaśnia je nam wszystkie. Żałuję, że nie mogę ich tu podać choćby w odtłoczeniu. Jeden tylko umieszczę, aby czytelnicy przekonali się, jaka głębia myśli chrześcijańskiej kryje się w tych malowidłach.

Obedientia, Posłuszeństwo — nazywa się. Na dachu jakiejś otwartej hali stoi św. Franciszek. Na karku dźwiga jarzmo, umocowane powrozkami, podobnie jak się je przymocowywało u wołów. Za jeden koniec powrozka ciągnie go widzialna z niebios ręka Boga Ojca w górę. Przy nim kłęczą dwaj aniołowie,

Sztuka malarska na Śląsku Cieszyńskim

Istebna jest uroczym zakątkiem, na rubieżach południowych Rzeczypospolitej, na Śląsku Cieszyńskim. Tam zachowała się śląska sztuka ludowa; zarówno poezja, jak rzeźbiarstwo, a dość przejść przez wieś, aby nasłuchać się pieśni śląskich naprzemian smętnych i wesołych, lub znów nacieszyć oczy malowniczymi domkami, z zachowanymi resztkami dawnego stylu śląskiego.

Tak piękna okolica, darząca nieskończonym zachwytem i słonecznymi obrazami każdego, kto do niej zbłądzi, stała się siedzibą nie tylko letników, ale i artystów. — Tutaj osiadł na stałe artysta-malarz Ludwik Konarzewski, po studiach w Paryżu i Rzymie, ożeniwszy się z góralką, siostrą artysty-malarza J. Wałacha z Istebnej, by tworzyć wyłącznie na śląskich wzorach sztukę ludoworodzajową i kościelną.

Olbrzymie bogactwo w jego pracowni! Więc cały szereg utworów ludowych, głównie obrazki z życia górali. Wyzyskał z nich sporo, malując kurtyny dla teatrów w Ustroniu, Jabłonkowie, Istebnej, a również dekorując wnętrza ich obrazkami śląskimi, z życia pasterskiego (owieczki na halach) lub bohaterskiego, bo niejedno podanie zachowało postać śląskiego bohatera z ostatnich walk powstańców na Śląsku. Liczne obrazki góralskie zdobią dzisiaj niejedną salę w Cieszynie, Katowicach, Krakowie, Warszawie... Konarzewski bowiem wy dobył całą artystyczną wartość, piękno i typ tutejszego człowieka, mającego swoisty charakter, a nawet osobliwą budowę czaszki i całej postawy. Typ to Ślązan, obok Polan, najstarszych Słowian w tej okolicy!

Osobne typy tworzą „gajdosze” (kobziarze), grający na instrumencie, jaki obok liry ukraińskiej, zachował się li tylko na ziemi śląskiej. Wtórnie zawsze takiemu gajdoszowi skrzypek instru-



Obrazy L. Konarzewskiego.
Obraz w kaplicy
pałacu biskupiego
w Katowicach.



Śląska Matka Boska
z Dzieciątkiem.



Święty Jerzy.
Na dole: Gajdosz istebniański, le ujęcie tematów w pól symbolicznych, w pól rzeczywistych w zgodnej całości.



Urządził szereg wystaw, a ostatnia w Katowicach, w salach Śląskiego Sejmu, dała całokształt twórczości artysty szczerzej i wielkiej miary, a budującego od nowa, na zrębach śląskich, sztukę wielką, bogatą!

Trzeba dodać, że w Istebnej prowadzi artysta-malarz Konarzewski szkołę przemysłu artystycznego, wychowując i wyszkolając młode talenty śląskie, by mogły z samodzielnego typu dojść kiedyś do skończonego artysty. A będą z nich kiedyś rzeźbiarze i malarze, by ratowali ginące już niemal resztki przebogatej w wzory sztuki śląskiej.

Michał Asanka-Japoll.

mentem, jaki widziałem podobny w okolicach Kremohy we Włoszech.

Liczne utwory dla kościołów stworzyły wprost osobny dział w pracowni L. Konarzewskiego. I tak dla kościoła w Knurowie na Górnym Śląsku wymalował św. Wawrzyńca. Niesłuchanie śmiało przedstawiony Święty, kiedy idzie na skazanie, wskazując na skarb swój — ubogich! Szereg pomysłów świeżych, a przebogaty dla kaplicy w Dziedzicach. A już te, jakie malował w Promnej (Modlitwa Świętych Polskich), Kamieńczyku, Przedborzu, należą do tych rzadkich wyrazów w sztuce, gdzie malarz skupił całe bogactwo z legend czy żywotów Świętych.

Wiele od nich pewien urok tajemniczy, ale i pociąga szczerość wiary artysty, opartej i wydobyczej z wiary ludu naszego!

Arcydziełem

Konarzewskiego należy nazwać jego kaplicę Matki Boskiej dla Biskupa śląskiego (w Katowicach), rzeźbę i obraz, wykonane z całym bogactwem barw. Zaś: „Śląska Madonna”, czy „Święty Jerzy”, dały niesłuchanie śmia-

Co będzie z tej małej dziczy?

Zwiedzając po długim czasie miasto, zaszedłem na Jeżyce. Znalazłem się na ulicy, przy której się znajduje jedna ze szkół miejskich. Po drugiej stronie wznoszą się wille konsułów zagranicznych. Przed gmachem szkolnym spotykam rozbawioną dzieciarnię. Radosne krzyki, wesołe zabawy...

Wtem spojrzałem na drugą stronę ulicy... Otóż, oczom moim przedstawił się następujący przykry widok. Gromada chłopców siedmio- i ośmioletnich starała się dostać do jednego z ogrodów. I rozpoczął się prawdziwy najazd. Jedni chłopcy podsadzali drugich przy przechodzeniu przez płot. Po chwili więc zielone trawniki i śmiejące się kwiaty padły ofiarą złośliwości dzieci. I piękne kwiaty skończyły swój żywot, leżąc po chwili w pyłe i kurzu ulicznym. Co więcej, liściom nawet drzewek ozdobnych nie dano spokoju. Zdało się, że to chyba ludzkie szarańcze... Dzieci, które nazywamy kwiatem narodu i jego przyszłością, dzieci, które powinny być każdego narodu ozdobą, przedstawiają się jako mała dzicz!

Czyż to naprawdę nie powinno przejąć troską tych, którym leży na sercu los naszej młodzieży. Bo nie dziwić się potem, jeżeli coraz częściej się słyszy o wandalskich niszczycielach, którzy i kwiatom cmentarnym spokoju nie dają. Nie o te kwiaty nam idzie, lecz o duszę tego dziecka, o ducha, który w zaraniu już swego żywota nabiera skłonności zbrodniczych i niszczycielskich. A nam potrzeba budowniczych!... A skąd oni mają wyjść, jak nie z tej młodzieży! Szukając winy, znajdziemy ją nietylko u tych malców, znajdziemy ją także tam, w tym gmachu, z którego młodzież nasza ma czerpać nietylko wiedzę, ale i też wychowanie; winę przysądźmy i tym, którzy

tam, w domu rodzicielskim, zapomnieli o dziecku, którzy zapomnieli mu wpoić poszanowanie cudzej własności i ukochania Boskiej przyrody. Bo pamiętajmy, że niszczenie kwiatka czy listka nie zaszkodzi wiele drzewu, ale zaszkodzi tej duszy młodocianej, która ma być białą jak dusza naszego Pana, który z takim ukochaniem zamilodu odnosi się do otaczającej Go przyrody. Czytajmy dzieciom te piękne legendy, gdzie młody Jezus w Nazarecie bawi się z kwiateczkami i ptaszętami... Oby nasze dzieci polskie były naśladowcami tego wielkiego Biednego z Asyżu, który z taką miłością śpiewał hymny na cześć otaczającej go przyrody, który każdy listek i pyłek kwiatowy uważał za brata lub siostrę, stworzonych nato, by, jak i on, chwalić Niebieskiego Ojca.

M. M.

Mężny i wierny

Na dalekim wiejskim cmentarzu u stóp starej sosny ujrzałem grób polskiego żołnierza, zarosły trawą, a na nim zatarte nazwisko, zatarty dzień i rok śmierci.

Tylko dwa słowa, wyryte nieudolną ręką, jeszcze trwały: mężny i wierny.

I mówiły do mnie te dwa słowa z przemożną siłą o życiu nieznanego żołnierza, o jego prostej i szlachetnej duszy.

Długo stałem, wpatrzony w grób i w słowa dostojne.

Od tego dnia dużo się zmieniło... widziały oczy przeróżne zjawiska... niejeden ból przypadł i wstrząsnął całą duszą.

A przecież często, zupełnie nagle, czy w chwili samotnej, czy w tłumie ludzi, stanie przed oczyma zapadły grób żołnierski na dalekim cmentarzu i prosty, dostojny napis: mężny i wierny.

X. Ewaryst Nawrowski.

Na drugiej półkuli

Wspomnienia i wrażenia z podróży na kongres eucharystyczny w Chicago

LV.

Przełwa dla posiłku. — Zabawne śniadanie. — Pocieszne obrazy. — Nie gorszy się! — Ustawianie procesji. — Mundelein-Tiberias. — Różne typy — Chińczyk Lo-Pa-Hong. — Żywe obrazy na wozach. — Procesja ma ruszyć. — Zakonnice przeszkodą. — Komenda przez radio. — Rycerze Kolumba. — Ich cylindry.

„Nie samem nabożeństwem żyje człowiek, lecz musi także zjeść i wypić, jeżeli chce duszę utrzymać w ciele.”

Tak pomyśleli praktyczni Amerykanie i dlatego urządzili przed samą wielką procesją przerwę, aby mogli posilić ciało ci wszyscy, którzy następnie chcieli rzucić ducha swojego do stóp Pana Jezusa, postępującego wędzając pochodem przez parki mundeleinowskie. Słusznie zresztą, bo czekała nas procesja niekrótka: na 7 kilometrów drogi będzie potrzeba 2 do 3 godzin!

Zdało się, że owa myśl, wyrażona uczestnikom za pomocą głośników radiowych, przypadła im do smaku. Wnet też rozsiadły się krocie ludzi po lesie, po drogach, nad stawkami, aby z różnych torb wyjadać aprowizację. Nazajutrz zaścilały park podobno dziesiątki tysięcy puszek blaszanych, kartonów, próżnych butelek jak trupy poboju, świadcząc, że dbano tu nałóżkę o podtrzymanie sił ciała. Kto żywności nie przyniósł ze sobą, ten miał sposobność zaopatrzyć się w „gorące psy” i w inne delikatesy w owych setkach namiotów, o których już pisałem.

A tymczasem wysokie duchowieństwo jak w ordynku wojskowym, według komendy ceremoniarzy, maszerowało do dalekiego pawilonu, gdzie było dla niego zastawione śniadanie. Do wnętrza dostawali się tylko wyłącznie fioletowi — jeszcze jeden dowód, jak pożyteczne mogą być księdzu za życia fiolety!

Nie mogę jednak zataić przed czytelnikami, jakie zabawne wrażenie robiło na mnie owo śniadanie, —

i wiem, że nietylko na mnie, ale i na wielu innych Europejczyków, zwłaszcza Francuzów. Myśmy tu jakoś więcej przywykli do zachowania powagi we wszystkim, co ma jakkolwiek, choćby i dalszy związek z rzeczami świętymi, jak nabożeństwo, procesje, adoracje. Widowisko w owym refektarzu seminaryjskim stało się mimo uroczystości dnia i mimo powagi obrzędu, wśród którego się to wszystko działo, nad wyraz pocieszne. Otóż aby nie tracić czasu, ustawiono w ogromnej sali długi stół, z którego można było brać sobie rosół w filiżankach, skibki chleba, ciastka, no i naturalnie nieunikniony ice-cream, ajskrim czyli lody, bez których Amerykanin nie uznaje żadnego jedzenia, wreszcie kawę czarną lub mleczną.

Arcybiskupi i biskupi, tak jak przyszli z nabożeństwa, w kapach złocistych i w mitrach na głowach, przechodzili, brali, jedli i pili. A potem w grupach po 3 lub 4, czasem i więcej, zasiadali sobie na jakim koniuszku ławki lub stawali w kątku na pogawędkę. Ten i ów zdjął mitrę i położył ją sobie na kolanach, a kapę uniósł w górę; inni zatrzymali mitry na głowach, a po kapach pozwolili deptać tym, co przechodzili później. Co za widok, godny malarza, jak oni dygnitarze w złocistych strojach, w rękę z filiżanką a w ustach z amerykańskim cygarem ogromnym, grubym jak kołek z płota, popijali kawę i pociągali wonny choć mocny dym cygar. Gdyby mi kto wtedy dał prędko aparat fotograficzny! To znowu pokazywał się jakiś ksiądz, przybrany już do procesji

w ornat, ale mający głowę pokrytą płaskim, białym kapelusikiem słomkowym, a twarz tudzież uzbrojoną potężnym cygarem, które w Ameryce należy do ozdób każdego dorosłego mężczyzny! Ale to wszystko działo się tak jakoś naturalnie, niewymuszenie, że nikomu z tamtejszych ludzi nie przyszło na myśl upatrywać w tem coś śmiesznego, a tylko my Europejczycy, z naszym usposobieniem kpiarskim, podkreślaliśmy „malowniczość” tej sceny. Naprawdę zresztą gdzie indziej nie są ludzie tak wrażliwi jak my. Czytałam przecież, że w Flamandji, gdy odprawiają jakieś nieskończone, milowe procesje Męki Pańskiej, przerywają je także dla wypoczynku i posiłku, a wtedy taki „święty Piotr” oraz „święta Weronika” idą sobie w najlepszej komitywie z Judaszem do najbliższej budki na szklenie piwka. Co kraj, to obyczaj! Wienciem gorzszym się!

Niestety ta przerwa wypoczynku trwała nieco długo. Procesja miała według porządku, głoszonego przez ryczące radio, wyruszyć o godzinie 1, tymczasem nadeszła już godzina druga, gdy zaledwie rozpoczęto trąbić do odwrotu.

Ustawić taką olbrzymią procesję w pewnym łaździe, zrozumiecie to, kochani czytelnicy, to także trudnielada. Przy megafonie stał tedy główny ceremoniarz i komenderował ruchami całego tłumu duchowieństwa, bractw, stowarzyszeń, biorących udział w procesji. Wszystko szło znakomicie.

Dzięki okoliczności, że duchowieństwo musiało czekać, aż w pochodzie znajdą umieszczenie wszelkie bractwa, stowarzyszenia, grupy, „żywe obrazy”, przedefilowały przed nami najrozmaitsze okazy rasy ludzkiej w najrozmaitszych ugrupowaniach.

Były kongresy, w których uczestniczyły głowy koronowane, że wspomnę choćby tylko kongres eucharystyczny wiedeński w roku 1912 z udziałem cesarza Franciszka Józefa. Tutaj nie było ni króla ni cesarza, ani nawet prezydenta żadnej Rzeczypospolitej. Ale zato był tu lud, rzesza niezmierna „quam dinumerare nemo poterat” — której nikt nie mógł przeliczyć, rzesza, która przybyła od łopaty i warsztatu, z biur i magazynów, od szarych zajęć i trosk codziennych, przybyła nad brzeg jeziora, aby w uroczystym pochodzie za Panem Jezusem okrążyć to jezioro.

Jakże mi żywo stała w pamięci pewna scena z ewangelji. Pan Jezus nauczał jednego dnia nad jeziorem Tyberjas. Strudzony kazał się potem łodzią przewieźć na drugi brzeg. A rzesze, opowiada ewangelja, chcąc go widzieć i słyszeć, okrążyły jezioro. Oto tu w Mundelein nowoczesne Tyberjas; okrążymy je, jak one rzesze biblijne, krocąc w procesji za Panem Jezusem.

Skład tych rzesz ewangelicznych nad brzegiem jeziora Tyberjadzkiego nie był z pewnością tak różnorodny jak tu w Mundelein. Tam byli sami zapewne mieszkańcy Ziemi świętej, żydzi i trochę pogan. Tutaj inaczej, istne zbiegowisko narodów. Nietylko Europejczycy wszelkiego języka, nietylko Amerykanie z północnej i z południowej części, nietylko Australczycy i Neu-Zelandczycy. Byli tu także czerwono-skórzy Indianie o głowach przybranych w pióra jastrzębie. Ogromne wrażenie robił ksiądz ze szczepu indyjskiego, który ubrany jak każdy inny kapłan w sutanne i komże, na głowie miał jak dzicy Indianie strój z piór. (Zobacz obrazek.) Byli Eskimosi z przewieszonymi ciężkimi skórąmi zwierząt, Hindusi w białych turbanach i czarnych, powłoczystych szatach ze lśniącej alpaki. Była nawet grupka Chińczyków. A wśród nich jeden bardzo godny i poważny, świątobliwy i miłosierny, a przytem bogacz ogromny, nazwiskiem Lo-Pa-Hong.

Pan Ignacy Lo-Pa-Hong, pochodzący z rodziny od wieków już chrześcijańskiej, jest miliarderm Szanghaju. Przykładny i gorący katolik, przystępuje on codziennie do Komunii świętej, odmawia wszystkie trzy części różańca i niezwykle ma hojną rękę na potrzeby biednych.

— A skąd czerpie swoje dochody? — pytam się amerykańskiego księdza, który mi o nim opowiada.

— Ba, jest on dyrektorem, głównym akcjonariuszem czy nawet właścicielem pięciu wielkich towarzystw: żeglugi, elektryczności, fabryk żelaza i stali oraz jakiejś kolei. Ale mimo że ma takie dochody, w kasie jego wciąż pustki. Niewyczerpane jego miłosierdzie wyprowadza mu często ostatnie krówki z obory. Nazywają go zato w Szanghaju „chińskim świętym Wincentym a Paulo” albo też królem żebraków, ponieważ żadnych prawie nie ma potrzeb osobistych.

Dowiedziałem się później jeszcze o tym chińskim świętym Wincentym i tej ciekawej wiadomości, że przywiózł ze sobą do Chicago na cele kongresu skromną ofiarę miliona dolarów, a oprócz tego wspinał aparaty złotolite do celebrowania Mszy biskupiej. Kardynał Bonzano celebrował już w tych jego aparatach. Nic dziwnego, że takiego króla żebraków niezwykle tam wenerowano (zobacz fotografię). Na procesji eucharystycznej szedł tuż przy baldachimie, zwracając na siebie uwagę wyglądem, ubraniem i fantastycznymi bajkami, które sobie o nim opowiadano.

Po różnych stowarzyszeniach świeckich przedfilowało przed nami kilka rydwanów z „żywymi obrazami”. Nie wiem, jakby inaczej nazwać grupy malownicze ustawione na ogromnych platformach a przedstawiające sceny historyczne. Oto naprzykład na jednym takim rydwanie widzę Krzysztofa Kolumba, lądującego w Ameryce i przywożącego krzyż Chrystusowy; na innym księdza Marquette, który przed 200 laty odprawił tutaj, w tych stronach, nad tem samem jeziorem Michigan, pierwszą Mszę świętą. Najbardziej oczywiście zbudził moją ciekawość rydwan polski, z ugrupowaniem „Macierzy” i „Zjednoczenia rzymskokatolickiego”. Rydwan przedstawiał króla Jana Sobieskiego w chwili, gdy otrzymywał Komunię świętą bezpośrednio przed odsieczą wiedeńską, która ocaliła chrześcijaństwo od zagłady tureckiej. Rydwany wszystkie, ale kto wie czy nie najwięcej rydwan polski, rzeczywiście pięknie przystrojony, zyskały ogromne oklaski, gdy powoli przesuwały się wśród uroczystie nastrojonych tłumów. Słyszę, jak jakiś stary biskup mówi do drugiego:

— I dorośli ludzie są dziećmi, które bawią się i napawają oczy barwnymi obrazkami. Proszę popatrzeć, jakie zadowolenie i radość maluje się na twarzach.

— Tak, — odpowiada drugi, — a przecież te jące żywe obrazy przypominają mi nieco teatr. Czy to tak bardzo stosowne przy tak świętym obrzędzie?

Przyszła kolej na duchowieństwo.

Na czele idzie długi sznur wychowanków małego seminarjum, niektórzy z nich, niosący krzyż i świece, przybrani w białe suknie z purpurowymi kołnierza-mi. W odpowiednim miejscu wsuwają się księża. Można sobie wyobrazić, jak długo się wsuwali, gdy się zważy, że było ich, samych księży, przeszło dwa tysiące, a do tego doliczcie trzystu kilkudziesięciu biskupów, arcybiskupów i opatów z asystą.

Posunęliśmy się wreszcie o jaki kilometr naprzód. Jesteśmy już w lesie. Tajemniczy głos, wychodzący z głośników, porozwieszanych po drzewach, powiadamia nas o wszystkim co się dzieje tam w kaplicy, przy ołtarzu.

— Teraz już ostatni arcybiskupi wchodzą do szeregu, — informuje nas mistyczny ryk. — Teraz wchodzi kardynałowie ze swojego pawilonu. Teraz ukazują się kardynał-legat Bonzano. Teraz zbliżają się wszyscy do kaplicy. Teraz wchodzi do kaplicy.

Tutaj zaciął się ów głos ukryty. Słychać, że przy megafonie toczą się jakieś pomieszane rozmowy.



Na czele procesji...

Z pewną jowialnością opowiada ceremoniarz przy radio:

— Nie, jeszcze nie wchodzi, bo nie mogą. Pod ich nieobecność wtargnęła do kaplicy armia zakonnic i obsadziła ją zwycięsko. Jakie dwa tysiące czarnych habitów i białych welonów! Wpierw muszą wyjść one. To trochę potrwa.

Po chwili godnej odzywa się znowu:

— Nareszcie wyszła ostatnia. Teraz wchodzi kardynałowie. Teraz kardynał Bonzano zbliża się do ołtarza.

W kilka minut później:

— Teraz kardynał-celebrans bierze do ręki monstrancję. Teraz rusza z miejsca.

Chwila ciszy. Potem znowu:

— Iść stale. Nie zatrzymywać się! Posuwać się naprzód!

Biskupi szli dotąd w mitrach na głowie, księża mieli birety.

Głos z radio strofuje ich o to:

— Najdostojniejsi biskupi zdejmą mitry a wszyscy księża birety. Idzie się z odkrytymi głowami. Tylko Rycerze Kolumba, tworzący szpaler, zatrzymują kapelusze na głowach.

Ach, ci Rycerze Kolumba! Żeby o nich nie zapomnieć!

Czy wiecie co to są Rycerze Kolumba? Jest to bardzo zacne, ale tajne towarzystwo, w organizacji swojej podobne do wolnomularstwa czyli masonerii, z tą tylko różnicą, że masoneria ma na celu odchrześcijanienie społeczeństwa ludzkiego i sprowadzenie go na poziom żydowsko-pogański, Rycerze zaś Ko-

lumba w celach swoich i sposobach działania są wybitnie katolicy. Jest w Ameryce jeszcze jedna organizacja tajna, która się nazywa Ku-Klux-Klan, a która zwalcza niemiłosiernie murzynów, żydów i katolików. Wspomnę jeszcze o tych Ku-Klux-Klanistach przy innej sposobności. Otóż Rycerze Kolumba, po angielsku „Knights of Colomb”, wzięli sobie za zadanie, także zapomocą tajnej konspiracji, zwalczać brutalnie zamachy Ku-Klux-Klanu w obronie katolicyzmu.

Nie mogło tedy zabraknąć Rycerzy Kolumba na procesji eucharystycznej w Mundelein. Istotnie stanowili oni szpaler na długości 2 kilometrów.

Było ich zapewne kilka tysięcy. Widowisko poważne i zarazem pocieszne. Stali wyciągnięci w dwóch rzędach, wyprostowani, w ręku z ogromnym szerokim pałaszem czy mieczem wzniesionym w górę, zresztą zupełnie bez wyglądu wojskowego. Ubrani byli wszyscy w czarne surduty na spodniach różnego koloru; przez pierś przewijała się szeroka, biała wstęga, z orderem organizacji na środku. Na głowie mieli mało już, dziś używany cylinder, wysoki i świecący. I właśnie ten cylinder stanowił taki zabawny kontrast z owym błyszczącym mieczem obnażonym. Nie, ów miecz nie przedstawiał się jako groźne narzędzie mordercze; dźwigały go ręce niewprawne we władaniu mieczem, ręce poczciców o twarzach spokojnych, z pewnością nie pragnących rozlewu krwi. Była to raczej ozdoba albo co najwyżej symbol gotowości owej tajemniczej nie-

co organizacji Rycerzy Kolumba do wystąpienia w razie potrzeby w obronie Kościoła.

Stare te poczcice a uroczyste ich cylindry, sterczące na głowach jak rury świecące, jakby same były zdziwione, że jeszcze je raz wydobyto z głębin, tak jak zdumienie wyrażają owe staroświeckie, sfałtgowane wiekiem salopy i falbankowate suknie, które nasze babusie wyciągają czasem na jakiś wielki, uroczysty dzień. Poczcice cylindryzyska musiały grubo przyplacić



Kapłan katolicki, potomek dawnego szczepu indiańskiego.



Chinczyk Lo-Pa-Hong (X) w otoczeniu gospodarzy kongresu eucharystycznego.

ten honor asysty przy owej procesji. Z całą pewnością niejedno z tych „przykrywań” przeżywało w ów dzień ostatnie swoje chwile. Albowiem zginęły one owego dnia niezawodnie w wielkiej, historycznej burzy...

Ale nie, tego nie mogę załatwić w jednym zdaniu. Opowiem to dokładniej i obszerniej, bo rzecz warta tego, w przyszłym numerze.

X. Józef Kłos.

Marja Czeska-Maczyńska.

Zagrobne łązy

Stały się nad światem mgły białe, dziwne mgły, co się w listopadowe dni wśród drzew snują, do ziemi lgną, bezlistne motają gałęzie.

Dziwne mgły...

W taką noc właśnie, mglistą, listopadową noc, gdy nadchodziło, jak co roku, święto umarłych, w małej chatynie pod lasem pięcioro dzieci układało się do snu.

W sąsiedniej izbie, na wygodnym łóżku, wśród pierzyn i poduszek spał gospodarz, jego druga żona i córeczka, w pierwszej zaś gnieździło się pięcioro drobiazgu po nieboszczce, na słomą wypchanym sienniku. Zimno było w izbinie, za oknem wiatr jesienny płakał, o węgly domu się rozbijał, okiennicą wstrząsał.

Straszno było czegoś...

Pomodlili się dzieci za zmarłą matkę, przytuliły się do siebie, okryły kocem, ale krótki i dziurawy zsuwał się z nich ciagle.

— To już dwa lata, jak mamusia nasza umarła — westchnęło któreś.

— Dwa lata...

Dziewczynka najstarsza ukryła twarzyczkę w dłoniach. Och, inaczej to było, gdy matusia żyła, zupełnie inaczej, nigdy głodne spać nie szły, nigdy nagie ciała nie przeświecały przez koszulki, matusia połatała, matusia popieściła, a teraz... Oj inaczej, inaczej! Płacząc dziewczynka usnęła, najstarszą była i najwięcej odczuwała różnicę między swoim dziś a wczoraj.

W sąsiedniej izbie druga żona zasnąć czegoś nie mogła. Zaduszna była noc, jakiś lęk do duszy wpelzał, to się jej zdało, że drzwi skrzypnęły, to, że o framugę okna ktoś suchym palcem stuka, to znowu skrzypiały bierwiona podłogi, jakgdyby ktoś szedł. Przewracała się z boku na bok Tomkowa żona, ale sen gdzieś uciekał, uciekał a jeno myśli zostawały, snuły się wbrew woli, dręczyły.

Zamykała Tomkowa powieki a to wciąż odnowa wracało myślą natrętą: Nie byłaś dobrą matką dla dzieci po nieboszczce... Nie byłaś im matką, jeno naprawdę macochą. Ot i dziś, rzuciłaś im, jak psietom, po chleba suchego kawałku a sami jedliście kluski na mleku. Gdy wy na pie-rzynach śpicie, w cieple i wygodzie, to biedne sieroty na twardym się tłoczą sienniku.

— Trudno! Pierwsze mi moje! — zaczęła się kobieta i usiłowała znowu zasnąć.

A to coś w niej wciąż szepce:

— Pamiętaj, za sieroty Bóg płaci...

— Ech!

— Za sieroty Bóg karze...

— Trzeba się za duszyczki zmarłe pomodlić, to może zasnąć.

Zaczęła się Tomkowa modlić a tu i zegar północ uderzył. Przez okno sąsiedniej izby księżyc świeci, na padłodzie kładzie się smugą i nagle w tej poświacie widzi Tomkowa: mgła, nie mgła, coś lekkiego jak mgła, jak ona przejrzystego przestrzenia wionie, nad siennikiem dzieci się kupi, chwije i nagle przyjmuje kształt ręki, owa ręka koc ujęła i okrywa nim dzieci śpiące. Owa macierzyńska, miłująca ręka...

— Jezu! Jezu!

Tomkowa żona krzyczeć chce a nie może, serce jej zamiera w lęku, strachu, zimnym potem oblewa skronie, chciałaby nie patrzeć a oczy jej rozwierają się jeno szerzej i chłoną każdy ruch owej ręki, jak mgła przejrzystej.

A z mgły znana twarz się jawi, bolesna twarz zmarłej matki ku dzieciom się chyli i łzami lśnią martwe źrenice.

— Dziecięta moje!

Zbudziła się najstarsza dziewczynina, drżącą rączką oczy trze, na barłogu usiadła, chude ramiona wyciągnęła:

— Matusiu! Oj matusiu, to ty!

Tomkowej serce ból nieznany szarpnął.

Słodką twarz matki chyliła się z mgły ku dzieciom, a dziewczynina w pół senna, błagała:

— Matusiu, o zostań, nie odchódź od nas znowu, weź nas z sobą, tak nam tu źle bez ciebie, matusiu. Ani się do kogo przytulić, ani miłowania, ani pożałowania. Głodne my i brudne, sieroty twoje.

I zdawało się Tomkowej, że oczy zmarłej patrzą ku niej smutkiem bezmiernym, wyrzutem. Chciała się modlić a usta jej się rozwierały i zawierały bez dźwięku.

A tam dziecięcy głos kwilił:

— Przecież tobie i w niebie nie musi być dobrze bez nas, matusiu. Przecież ty tam widzisz, jakie my bez ciebie sieroty biedne. O weź nas z sobą matusiu... Matusiu!

— Cicho... cicho...

Znak krzyża ręka mglista w przestrzeni kreśli, nad jasnymi główkami dzieci a potem tenże znak krzyża w kierunku izby drugiej...

Porwała się z łóża Tomkowa żona, żal, ból, skrucha były w niej, widziała, jak mgła ku oknu idzie, rzuciła się i ona ku oknu i widziała, jako się owa smuga mgły srebrnej do wierzb przydrożnych tuliła, do płotów lgnęła i jako nagle rosa jej szlakiem lśniła, rosa przeobfita.

Rozpłynęła się po polach rosą zagrobłą matki łza, na pokosach lśni, na ścierniskach, na trawach.

— A jak ty umrzesz?

— Jak twoje dzieci tak kiedyś ostaną poniewierane, nieszczęśliwe...

— O Jezu! Jezu!...

Rzuciła się Tomkowa do izby, na barłogu przysiadła, przygarnęła do piersi sieroty rozbudzone, przełknięte, senne, jej nagłą dobrocią zdziwione.

Rozpłakała się najstarsza:

— O matusi śniłam...

— O matusi śniłaś, sieroto, i ja też...

I Tomkowa buchnęła płaczem a wraz z temi łzami serce jej twarde, zimne, samolubne, rozgrzewało się miłowaniem, litością, dobrocią.

A wraz z temi łzami matką się stawała i tym dzieciom obcym jako i swoim była.

Stare dzieje

Mówią stare dzieje o wielkich, krwawych bojach, o wędrówkach ludów.

Staną do walki nowy czas ze starym. To, co miało rość i trwać, stanęło przeciw temu, co musiało zginąć.

Niosły przed sobą tłumy nowego czasu hasło bojowe: z Bogiem!

W tych walkach szedł na czele wojsk rycerz nieustraszony z złocistym sztandarem.

Gdy w krwawej bitwie otrzymał śmiertelną ranę i czuł zbliżający się skon, nie zachwiał się, ale z nadludzkim wysiłkiem wbił mocno w ziemię drzewce sztandaru.

I gdy sztandar stał mocno, dopiero wtenczas upadł na ziemię, konając z szczesnym uśmiechem na twarzy.

Zda się, że prastary sztandar wciąż stoi, głęboko wbity w ziemię ojczystą i mówi na wszystkie czasy świętą naukę o bezgranicznej miłości ojczyzny i bezgranicznym poświęceniu.

X. Ewaryst Nawrowski.

Pomnik ku czci poległych bohaterów p. Radzy. inem

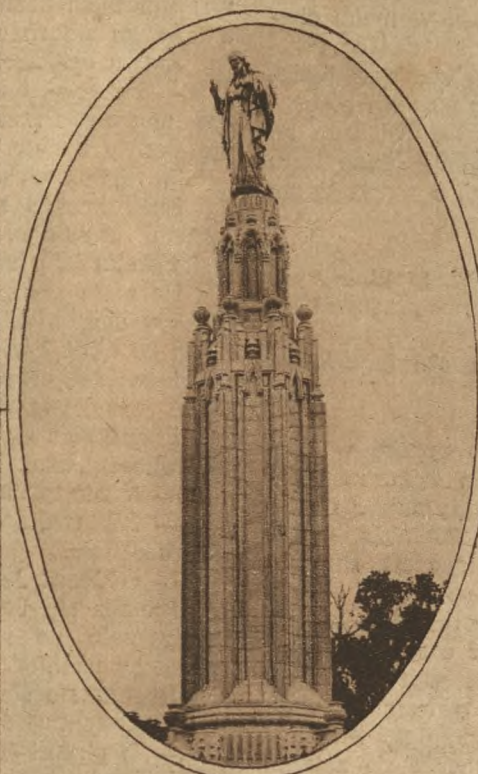
W rocznicę bitwy pod Radzyminem, w dniu 9 października, odbyło się na miejscu walki, która rozstrzygnęła zwycięstwo nad Bolszewikami w r. 1920, uroczyste poświęcenie kaplicy.

Kaplica ta ma być pomnikiem ku czci poległych wówczas bohaterów. Zbudowano ją na cmentarzu, gdzie w dwóch grobach spoczywają setki poległych za ojczyznę. — Poświęcenia dokonał X. Gall, biskup połowy wojsk polskich, w obecności P. Prezydenta państwa. (Zob. obr. na str. 12.)



Na lewo: Odsłonięcie pomnika Powstańców Górnoląskich w Królewskiej Hucie w obecności p. Prezydenta Państwa (X).

Na prawo: Serce Kościuszki powróciło z Szwajcarii do kraju. Na obrazku widzimy urnę z sercem w chwili przewiezienia jej do Warszawy.



Posąg Najśw. Serca Jezusowego w Bilbao (Hiszpanja). Hiszpanja cała poświęciła się uroczyscie Najśw. Sercu Jezusa.



Budowa nowego kościoła w Koszutach. Po skończonej pracy starodawnym zwyczajem cieśle zawesili na szczycie wieży krzyż, uwieńczony zielenią i chorągiewkami.



Pp. Tomasz i Marja Lenscy z Chełmży obchodzili złote gody małżeńskie.



Figura w Dzieżynie fundowana przez p. M. Smierzchałę.



I zagranicą dzielna nasza młodzież organizuje się: Towarzystwo Młodzieży Polskiej w Nowemkransku w Niemczech. Z boku: W obecności p. Prezydenta Rzeczypospolitej (X) odbyło się w Radzyminie uroczyste poświęcenie kaplicy przy grobach poległych. (Zob. str. 11)

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki” wynosi: za egzemplarze osobiste odbierane w ekspedycjach i agencjach poznańskich 1,65 zł. Za egzemplarze wysyłane w opasce pod adresem imiennym w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł., od 10 do 59 egz. po 2.— zł., od 60 egz. wzwyż po 1,85 zł. Dla abonentów pocztowych przedpłata kwartalna wynosi 2.— zł., miesięczna po 67 groszy za każdy miesiąc łącznie z kosztami manipulacyjnymi. Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki”.